

Marolambo, dnia 29 września 1983 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!  
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Dziś mija równo dwa lata od czasu mojego przybycia do tej misji w Marolambo, która powinna być oddana w opiekę trzech Archaniołów, aby Święci Michał, Rafał i Gabriel mieli nas w swojej obronie. A ich obrona i pomoc są nam potrzebne, gdyż nie wszystkie zdarzenia są pomyślne. Jak w Polsce odległej o te 8 tysięcy kilometrów, także my tutaj na Czerwonej Wyspie przeżywamy chwile mniej radosne. Niepokojące są te wieści dochodzące z Polski. Najsmutniejsze jest to, że wzrasta przestępczość, ale to już jest nieodłączne z postępem biedy i nędzy przy wszystkich niepokojach. Zaczęły dochodzić do mnie wieści, że giną też nasze listy z tego powodu, iż przychodzą z zagranicy. Po prostu pracujący na poczcie szukają w nich pieniędzy. Jednakże w naszych listach pieniędzy nie znajdują. Na Madagaskarze jest niedozwolone i karalne posiadanie pieniędzy niemałgaskich czyli tak zwanych dewiz. Mam jedynie trochę monet francuskich, gdyż takich pieniędzy banki małgaskie nie chcą skupywać. Podobnie banknot polski (dwudziestozłotowy) może leżeć spokojnie i czekać na mój wyjazd. Co ja za taką sumę pieniędzy kupię w Polsce?

Ale po takim niemisyjnym wstępie czas przejść do spraw naprawdę misyjnych. Rozpocznę od sprawy bolesnej. To brak sióstr zakonnych na misji, która z tego powodu nie może być uznana za kompletną. Szukamy sióstr małgaskich, ale żadne Zgromadzenie nie ma odwagi zamieszkać w Marolambo z powodu trudności komunikacyjnych. Może przybyłyby tu siostry z Polski? Chociaż polskie siostry musiałyby nauczyć się dwóch języków: francuskiego i małgaskiego. A to zajęłoby też trochę czasu. Siostry małgaskie mogłyby wejść w pracę dużo szybciej. Pomimo takich problemów już myślimy o zbudowaniu domu dla sióstr i kilku (2-5) domków potrzebnych dla prac, które będą prowadziły. Przecież misja musi przygotować sale dla nauki, internat czy kuchnię dla młodzi. I to najskromniejsze przygotowanie zaplecza wymaga trzech czy czterech lat. Na razie mamy nowy agregator do wytwarzania prądu elektrycznego, silniejszy, zdolny oświetlić nie tylko kościół i nasz dom, ale także przysły dom sióstr. Poza tym nowy motor potrzebuje ropy napędowej, więc w eksploatacji jest też tańszy, niż obecny, benzynowy. Tak na przykład kawę mielimy w te dni, kiedy Mszę Świętą odprawiamy wieczorem (poniedziałki, środy i piątki). Nieraz uruchamiamy naszą elektrownię także w niedzielę, ale czynimy to rzadko. Nie możemy sobie pozwolić na zużycie czterech litrów benzyny każdego wieczoru z powodu trudności z dowozem paliw.

W lipcu odwiedziłem wioski w południowej części mojego sektoru i powróciłem do domu z nieco bardziej poranionymi nogami. Nieraz gałązka zadraśnie, nieraz nadepnięta większa gałąź sprężynuje pozostawiając długie i szerokie pasemko czerwonego koloru, nieraz skaleczenie jest spowodowane uderzeniem palca o korzeń lub rani sam paznokieć. Przyczyny są różne, więc po powrocie do domu trzeba zadbać o nogi, aby były gotowe do następnego wymarszu. Gorzej, że odwiedziny nie dały wiele radości pod względem duszpasterskim. Wszędzie ludzie modlą się tylko razem ze mną - trzy albo cztery razy do roku. I tylko jedna osoba uczy katechizmu przygotowując do Spowiedzi i Komunii Świętej młodzież z trzech wiosek. Odprawiałem Mszę Świętą w wiosce przy szpitaliku, ale nikt nie zainteresował się. I chyba zrozumiałem, dlaczego tak się dzieje. W tym wypadku inicjatywa wyszła ode mnie, stąd brak zainteresowania. Właściwszą metodą jest cierpliwe czekanie na decyzję samych mieszkańców. Ale „sprawa” częściowo się rozwiązała, gdyż przeniesienie do innego szpitala otrzymała pracująca tam pielęgniarka, która była jedyną katoliczką i tylko dzięki niej mogłem się zatrzymać w tej wiosce. Od tej pory nie mam już nikogo, kto chciałby mnie przyjąć.

Po pięciodniowym odpoczynku w dniu 8 sierpnia wyruszyłem do północnej części mego sektoru, planując odwiedzić 10 wspólnot katolickich. Niestety, odwiedziłem tylko dziewięć, gdyż w wiosce Mahatsara (to znaczy „uszcześliwia”) jedyna katolicka rodzina tam mieszkająca musiała nagle „wybyć” z domu, ale zadbano o wcześniejsze poinformowanie mnie o tym. Z tego

powodu na ich propozycję zmieniłem plan obchodu pozostając przez dwa dni w centrum, zaś jednego dnia przeszedłem drogę przeznaczoną na dwa dni, w sumie siedem godzin. Towarzyszył mi katecheta, który przyniósłszy moje bagaże zjadł obiad i od razu wyruszył w drogę powrotną. Zanocuje po trzech godzinach w wiosce, w której rano zostawił ryż, który mu ugotują. Niestety, ja nie zatrzymuję się tam, nie mam dla kogo, chociaż są katolicy "niepraktykujący". Nie zapraszają mnie, już od bardzo dawna się nie modlą. Takie wyjaśnienie usłyszałem kiedyś od towarzyszącego mi katechety.

Radosne wspomnienie pozostawiła wizyta już w drugiej wiosce. Sześcioro dzieci przygotowuje się do Chrztu i Pierwszej Komunii Świętej. Najgorliwszą jest trójka dzieci katechety, gdyż udzielenie Sakramentu Małżeństwa ich rodzicom jest uzależnione od Chrztu tych trzech latorośli. Zgorszonym Czytelnikom wyjaśniam, że nieraz nie ma innej metody zmuszenia Malgaszy do zawarcia sakramentalnego związku małżeńskiego. Po prostu na Sakramencie Małżeństwa im nie zależy. W takim przypadku nawet sam katecheta nie może przyjmować Komunii Świętej. Ci sami ludzie do Chrztu przynosiliby wszystkie dzieci swoje i niekatolickich sąsiadów. Tak jest w wielu wioskach. Nieraz dzieci noszą wielokrotnie już przeczytane książeczki z obrazkami, które im zostawiłem podczas pierwszego obchodu w roku ubiegłym. Każde z nich przeczytało już fragmenty Ewangelii kilkakrotnie, ale żadne z dzieci nie ma odwagi opowiedzieć mi ich treść. Wstydzą się, czy nie potrafią zapamiętać?

W najdalszej wiosce jest mała wspólnota katolicka. Już w październiku zapisałem imiona uczących się katechizmu, ale do tej pory jeszcze nikt nie zaczął się uczyć albo nie ma nikogo chętnego do uczenia ich. Wolą zwalić winę na młodszych? Może wyjaśni zdarzenie mające miejsce wieczorem, gdy zebraliśmy się na śpiew. Było nas dużo, dzieci siedziały na podłodze zbite w gromadę, niewiele mając luzu do poruszania się. Młody katecheta narzekał, że nie ma okularów i nie może czytać, więc też nie może uczyć katechizmu. Po pewnym czasie zauważył moje okulary przeciwsłoneczne leżące na stole, po prostu jeszcze nie schowałem ich do mego koszyka. Wziął te okulary, założył na nos i czytał bez trudu. A mieszkanie oświetlał naftowy kaganek bez szkła. Przekonał się, że może czytać i mógłby uczyć katechizmu, gdyby miał okulary! Kiedyś mieszkańcy tej wioski mieli piękny kościół, ale przed pięciu laty przewrócił się. Teraz planują postawić nowy, nieco większy. Po co większy, skoro w niedzielnych modlitwach odmawianych w domu „prezydenta” wspólnoty gromadzi się pięć do sześciu osób i nikt z młodzieży? Trudno mi ocenić tę wspólnotę, gdyż na dzień moich odwiedzin zapraszają katolików z sąsiedniej wioski zza dużej rzeki Mangoro (co znaczy „huczająca”), wioski należącej do misji Ilaka. Sami też licznie przepływają rzekę pirogami z okazji przybycia tam francuskiego misjonarza, aby wspólnie się modlić. Mimo wszystko to cieszy.

Po przybyciu do centrum otrzymałem bardzo interesującą informację, że mieszkańcy trzech wiosek, przez które przechodziłem bez zatrzymania się, proszą, abym ich odwiedził i zatrzymał się podczas następnego obchodu misyjnego. Zapisuję nazwy wiosek, a po powrocie do domu wepnę trzy pineski na dużą mapę wiszącą na ścianie w naszym salonie. Trzy wioski były „umarłe, a ożyły”. To zawsze cieszy. Ale nie to było ostatnią radością. Po opuszczeniu centrum przechodzę do następnej wioski i po drodze pytam towarzyszącego mi katechetę, „dlaczego teraz tą drogą nie mogą jeździć samochody”? Odpowiedział szczerze: „chyba dlatego, że jesteśmy wolni”. Jeszcze przed dwunastu laty do ich wioski dojechał Ksiądz Biskup, aby udzielić Sakramentu Bierzmowania, teraz jest to niemożliwe. Kolonizator odszedł, ani sam nie naprawia dróg, ani nowe władze nie zmuszają do cotygodniowych prac społecznych we wtorki.

Wtedy też rozkoszowałem się pięknymi widokami idąc szeroką ścieżką nad strumykiem szumiącym 15 metrów niżej. Droga była łatwa, jedynie nieraz przychylałem się pod rozłożystymi drzewami, aby mój kapelusz nie został na gałęzi. I to było powodem, że nie zauważyłem małego łuku ścieżki. W jednej chwili obróciłem się na pięcie i w pozycji leżącej znalazłem się o jeden metr poniżej ścieżki, leżąc na krzewach porastających stromy i wysoki brzeg strumyka. Opowiadając o tym współbraciom w domu wyraziliśmy obawę, że może kiedyś komuś zachce się tu postawić pomnik „upadłego misjonarza”.

Niecałe dwie godziny szedłem z centrum do wioski, w której odprawiam Mszę Świętą trzymając ołtarz, aby się nie przewrócił. Okazałem się nieroztropnym odsuwając stolik od ściany.

W czasie obiadu nie chwiał się, gdyż swoim ciężarem dociskał się do ściany. W tej wiosce jest miło, chociaż nie ma nauki katechizmu, ale też młodzież niekatolicka nie ucieka, można z nimi porozmawiać i nawet się pobawić w piłkę lub inne zabawy. Tutaj nie śpiewamy wieczorem, nie ma takiej tradycji, natomiast przyszedł do mnie katecheta prosząc o lekarstwo dla swojej rany na nodze. Niestety, nie miałem ze sobą lekarstwa na trąd, a zwykła maść z antybiotykiem nie pomoże. Jednakże pozostawiam ostatnią tubkę tej maści, aby przynajmniej nieco wysuszyła jego rany.

Rankiem opuszczam wioskę, aby za godzinę ujrzeć samochód misyjny prowadzony przez Ojca Jana, który zawiezie mnie do domu. Ale nie zdążyłem przejść tej drogi przez godzinę. Za pół godziny zatrzymano mnie w wiosce prosząc o wejście do domu. Tam powitał mnie katecheta, którego poznałem w samo Boże Narodzenie, gdy był zajęty przy oczyszczaniu drogi. Teraz prosi mnie o odprawianie Mszy Świętej w ich wiosce żodczas następnego obchodu misyjnego. Dodaje jednak, chociaż „my nigdy nie modlimy się”. Piję kawę, oglądam stare książki i obiecuję spełnić to życzenie w październiku. Żegnając katechetę, mam do przejścia drogę dwudziestu minut. W wiosce o nieznanym mi nazwie przejeżdżam pirogą rzekę Nosivolo, która nieco przybrała po deszczach i wchodzę do znanego mi już domu, gdzie mam odprawić ostatnią w tym obchodzie Mszę Świętą w wiosce „przy Świętym Kamieniu”. I tutaj znów niespodzianka. Przy stole przygotowanym do Mszy Świętej siedzi katecheta z sąsiedniej wioski, a dzieci siedzące na podłodze recytują katechizm. Już znają 40% katechizmu! Pytam o liczbę uczniów. Z tej maleńkiej wioski jest siedmioro, ale dziś uczących się katechizmu jest jedenaścioro dzieci: czworo przyszło z wioski położonej 2 km bliżej Marolambo, a katecheta stara się przygotować do Komunii Świętej wszystkie dzieci, które przychodzą. Na Mszę Świętą przybyło wiele osób z wioski po drugiej stronie rzeki. I dopiero teraz dowiedziałem się, że za rzeką jest wspólnota katolicka, której nazwy nie znalazłem w żadnym „starym” programie. Dawno już nie mieli Mszy Świętej w swojej wiosce, a na liście uczących się katechizmu jest 38 imion! Obiecuję im zatrzymać się u nich podczas następnego obchodu misyjnego, aby odprawić Mszę Świętą, zapoznać się z katechetą i uczniami, pośpiewać, więcej porozmawiać, bo naprawdę warto wynagrodzić im to zaniedbanie ze strony misjonarza. Na razie mogę dać im dwa katechizmy, bo więcej sam nie mam. Dla katechety daję duży katechizm. Mają więc to, co jest najważniejsze, a inne książki sami dokupią po obniżonej cenie dzięki pomocy katolików z Austrii.

Powrót do domu jest już prosty, samochód czeka, chociaż droga coraz gorsza i te 17 km zabiera nam całą godzinę. Kilka osób korzysta z okazji i jedzie z nami do Marolambo. W domu rozpakowanie plecionej kosza, szukanie pluskiew, powrót do „zwyčajnego” życia na misji. Na razie jesteśmy we dwóch, ale niedługo pożyję w takim komforcie, kiedy mam z kim porozmawiać w ojczystym języku. Współbracia wyruszają do swoich sektorów. I nieraz zastanawiam się, czy więcej czasu spędzam we wspólnocie, czy w samotności? Trzech nas stanowi „pełną wspólnotę”, ale właśnie z powodu koniecznych przecieźobchodów misyjnych rzadko jesteśmy we dwóch, a już bardzo rzadko siedzimy w trzech. Trzeba wykorzystać każdą okazję i wszystkie możliwości, aby spotkać się z ludźmi poza Marolambo.

*Z serdecznym pozdrowieniem  
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej  
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Jaką wadę ma kotek? Że potem kotek zwykle staje się kotem. Malgasze znają przysłowie: „hodować kota”, to znaczy dawać mieszkanie i jedzenie złodziejowi. Bo kot kradnie, gdy zostanie sam w mieszkaniu. Dlaczego więc złodziej kotek jest tak lubiany? A znacie kotki i koteczki na dwóch nogach? Kogo tak jeszcze nazywamy? I co ONE kradną?

\* \* \* \* \*